№ 38. Warszawa, dnia 10 (22) Września 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty bieżącego roku. Pod ryciną tytułową w każdym numerze znajdują się warunki prenumeraty.

Na **Przyjaciela Dzieci** *prenumerata wynosi:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie · rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści” oraz „Przyjaciela Dzieci”, w Warszawie ulica Chmielna Nr 26.

POETKI CZESKIE.

SKREŚLIŁ

Zenon Przesmycki.

I.

BOŻENA STUDNICZKOWA.

Zaczniemy od niewyszukanych, prostych, serdecznych piosnek dziewczęcych Bożeny Studniczkowej. Z faktów rzeczywistych o życiu jej nie wiemy nic nad to, że była czas jakiś przełożoną ochronki w Karlinie. Za to zbiorek jej poezyi zatytułowany: Echo wnętrza (Ohlasnitra) daje nam w formie, pełnej prostoty i szczerości, udatnie naśladującej tu i owdzie ton piosnek ludowych, cały szereg miłych obrazków z życia dziewczęcego. Odzwierciadliło się to wszystko, co kiedybądź wstrząsało piersią poetki i budziło żywsze w jej sercu bicie, odbiły się wszystkie jej przeczucia, pragnienia, nadzieje, radości, smutki i rozczarowania. Każdemu uczuciu, każdej chwilce życia poświęciła mały wierszyk. Na pierwszem miejscu u niej ojczyzna. „Tak wiele, powiada, pochwalnych wierszy ci napisano, tak wiele wyśpiewano uroczystych pieśni. Wiem, że zdołałabym dla ciebie zrzec się całego szczęścia swego, lecz nie potrafię ci wypowiedzieć wszystkiego co dla cię czuję. Zda mi się, że jestem dzieckiem, co ma winszować mateczce, lecz ze wzruszenia słówka wyrzec nie może i tylko łka: „Droga matko!...” Potem ze łzami ją ściska, serdecznie całuje, a matka bez słów uwierzy i więcej słyszeć nię pragnie.” Po ojczyznie matka (ojca snadź nie pamiętała) i brat. Dziewczę opowiada rozmowy swoje z drogą mateczką, z bólem głębokim śmierć jej wspomina, a gdy minęła ta smutna chwila, spostrzega, jakie to szczęście, że ma brata: „O dzięki losom, że cię mam, mój bracie miły, drogi; wśród pustych życia mego dróg, tyś mi oazą dzisiaj. Zimno, posępnie, straszno mi byłoby samej w życiu, bo tutaj mroźny wieje wiatr, słońce tak blado świeci. Podajmyż sobie wzajem dłoń w pośród tej kry lodowej, z miłości obcych cóż nam, cóż? dla siebie tylko żyjmy! Otwórzmy sobie serca swe, sny swoje w nich czytamy, w miejsce nadziei zwiędłych kwiat majowy w nie wetknijmy. Utwórzmy sobie mały świat w tym pustym, wielkim świecie, gdzie mrą uczucia w piersi już, nim które z nich rozkwitnie.” Dotąd proste, naiwne dziewczątko nie znały innej miłości nad braterską i zdawało jej się, że to ją zadowolni, że jej nic więcej nie trzeba. Wkrótce przekonała się, że jest miłość inna. Posłyszała coś o niej i zaciekawiło ją, gdzie może być ta prawdziwa miłość, o której przy niej mówiono:

Radabym wiedziała, gdzie ta miłość prawa,
Czyli też gdzie rośnie jej pachnące kwiecie?
By ją tylko znaleźć, całybym cię przeszła,
Ty, daleki świecie!

I budzą się przeczucia i tęsknoty. „Serce nie jest, jak spadły z drzewa listek, którym wietrzyk igra, jak mu się spodoba. Jaki też będzie mój los na świecie, gdzie wiatr me serce zaniesie? Może je burza strzaska o skały, może zatopi w głębinie? Będzie-ż nieznane? będzie ż zdeptane? czy też samotnie w pustyni zwiędnie? W tych przeczuciach zwraca się do przyrody, pyta gwiazd, roślin, ptaków, chce odnaleźć w ich losie podobieństwo do swego, zdaje jej się, że w sercu jej wre burza, że jest nieszczęśliwą, że nie zniesie swej samotności... Z ust jej wydziera się namiętna prośba:

O słonko moje, zaświeć mi,
Zanurz w mem sercu jasny wzrok,
Rozbudź w niem życie, wygnaj chłód,
By rozkwitł w niem miłości kwiat.

Albo na zawsze skryj się w mgły,
Niech zmarznie w kwiecie życia sok,
Niech skrzydła ducha stęgną w lód,
Niech w sercu spocznie zimny gad.

I pokochała, a pokochała serdecznie, prawdziwie, jak kobieta kochać powinna. Była mu towarzyszką dobrą, odczuwała wszystkie jego bóle i radości, dla szczęścia jego wszystkoby oddała. Lecz źle snadź trafiła, on nie był godny jej miłości, nie odpowiedział jej egzaltowanym nieco marzeniem, bo niedługo potem smutno znowu w duszy poetki, nadzieje jej rozwiały się, jak mgła, którą wietrzyk rozpędzi i słońce potarga... Do tego przyszła choroba, z nią czarne, posępne myśli mózg osiadły, rosnący pesymizm ubrał świat w czarne kolory i podszepnął kojącą myśl o śmierci:

Otrząsnę lekko życie to,
Toć jam sny zawsze miłowała,
A tam się przecież naśnię dość,
Pod darnią, gdzie ma chatka mała,
Tak — tam!

Po długich smutkach, bólach i walkach wewnętrznych, spokój powrócił do duszy poetki. Pojęła, że próżny był jej żal do świata, zrozumiała, że nie ona jedna jest nieszczęśliwą, i wstyd jej się zrobiło poprzednich żalów i wyrzekań: „Chcę inną być, inaczej żyć! toć piękny jednak jest ten świat, chociaż ten jeden uwiądł kwiat, chociaż się zaćmił słońca świt." Ale jakże drogim wydał jej się po wszystkich tych przejściach odzyskany spokój ducha, jak drgnęła boleśnie cała jej istota na myśl, że może go znowu utracić:

Spokoju święty, któryś wreszcie
Zagościł w biednej duszy mej,
O nie opuszczaj mnie znów samej
Na burze, walki, smutki, łzy!
Zostań ze mną!

Małom cię jeszcze dotąd znała,
Aż tyś mi rękę podał sam,
Nie, nie chcę myśléć, nie chcę wierzyć,
Że znów tę rękę puścić mam.
Zostań ze mną!

O zaprzyjaźnij się z mem życiem,
Towarzysz mi przez szereg lat,
Bądź moim panem, moim losem,
W objęciu twojem — cóż mi świat?
Zostań ze mną!

O nie daj, by me serce ciche,
Pragnęło znów namiętnych burz,
Raczej swą ręką dobroczynną,
Pancerz lodowy na nie włóż.
Zostań ze mną!

I spokój pozostaje. Poetka przenosi całą miłość swą na dzieci, które wychowuje, poświęca się dla nich, a z myślą o przyszłej śmierci łączy się w niej tęskne wspomnienie o przeszłości, gdy prosi, by kładąc w grób, dano jej w rękę uschłą różę, pamiątkę z dawnych, dawnych lat...

Rozgadaliśmy się tak obszernie o tych dziewiczych uczuciach Studniczkowej dlatego, że były one wspólne z małemi różnicami (o ile można sądzić z poetycznych wyznań) obydwom poetkom: Studniczkowej i Bercie Mühlsteinowej.

Z ALBUMU.

Za tą gwiazdeczką, za tą maleńką,
Co dzisiaj pierwsza błyśnie na niebie,
Jako wędrowne ptaszę z piosenką,
Idę do ciebie.

Idę do ciebie... przy tobie wszyscy,
O których w wspomnień świątyni roję —
I moi drodzy, i moi blizcy,
I gniazdo moje.

Ty, dziewczę, jesteś w klatce dziś złotej,
I beznamiętnie dni twoje biegą,
Ty nie znasz błędnych ptaków tęsknoty,
Do gniazda swego.

Smutno mi dzisiaj, śliczna dzieweczko,
Więc biorę piosnki skrzydła motyle,
A ty mi z za chmur, jako słoneczko,
Błyśnij na chwilę.

J. Kuczyński.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Co? co? — zawołałam wstając z darniny. Różnobarwne koła w oczach mi przelatywały. Mnie i Witalisa zamykał ścisły wieniec zieloności, nikt nas nie mógł dojrzéć z tej groty, a zresztą, gdyby nawet setki oczów patrzało na mnie, nie mogłabym już pohamować się dłużej.

— Oświadczyłem się pannie Hortensyi o jej rękę i zostałem przyjęty.

— Szczęścia, panie Witalisie, szczęścia!

Nie słyszałam prawie teraz swoich słów. Z zaciśniętej dłoni nie mogłam oswobodzić ręki narzeczonego kuzynki. Palce moje oplotły się wkoło niej, jakby w tym uścisku miały zostać wiecznie... Była to ręka okrutna dla mnie, a jednak kochałam ją w tej chwili, najszaleniej. Drżąca, rozgorączkowana, namiętna patrzyłam oko w oko z nim. Z pod powiek płynął ku niemu niepowściągany już zdrój uczucia. Daremnie usuwał kilkakrotnie rękę. Więziłam ją całą siłą naprężonego organizmu. Nareszcie zawirowało mi coś w głowie, ścisnęło w piersiach i z cichym okrzykiem upadłam zemdlona na pierś Witalisa.

Gdym otworzyła oczy, ujrzałam się w moim pokoju na kanapce, w zaniedbanym balowym stroju. Pochylona nademną stała ciotka, u wezgłowia garderobiana, z boku mężczyzna, w którym domyśliłam się lekarza.

Zbliżył się natychmiast, wyegzaminował puls, serce, głowę, kończąc słowami zimno, dobitnie z właściwym tym ludziom mechanizmem.

— Zemdlenie spowodowane było nagłem, niezmiernie mocnem uderzeniem krwi do głowy, pochodzącem znów z pobudek, niewiadomych mi całkiem. Ściśnienie serca, musiało mieć źródło, jak mi się przynajmniej wolno domyślać, w czemś niezwykle wstrząsającem, w czemś co uderzyło siłą gromu. Nie należy się jednak obawiać żadnych groźnych następstw. W razie ponownego zemdlenia, pani baronowa raczy mnie zawezwać.

Po głębokim ukłonie opuścił pokój.

Ociężałą głowę podniosłam zwolna.

— Ciociu! jak to było?

— Moje dziecko — rzekła ciotka całując mnie w czoło. — Pan Witalis powiedział mi poprostu, że zemdlałaś w jego obecności, w czasie rozmowy. Teraz ja z kolei pytam, z czego?

Przyklęknąwszy znalazłam się obok baronowej. Zmęczoną głowę utuliłam na jej łonie, gorącemi rękami przycisnęłam do mych ust jej ręce.

— Anusiu! — zawołała przelękniona — co to znaczy, co się dzieje z tobą?

Głośny płacz stanowił odpowiedź. Dopiero po długiej chwili przyszło opamiętanie.

— Cioteczko, nie bierz proszę łez mych za objaw nadzwyczajny.

Gdy baronowa przytuliła mnie do siebie, zacisnęłam zęby, aby nie jęknąć: Witalisie! Witalisie!

— Rozdrażnienie jakieś odejmuje mi zwykłą swobodę umysłu. Nie trzebo zważać, to minie.

Palący rumieniec oblał mi czoło na badawcze, przeciągłe spojrzenie.

— Idź ciociu, bawić gości, nie obawiaj się już o siostrzenicę, która cię najserdeczniej przeprasza za tyle przykrości.

Po odejściu ciotki otworzyłam okno. Błędnem okiem śledziłam poczynający się ruch uliczny. Z dołu dobiegały urywane tony muzyki, koło murów domu snuły się postacie biednych, jednak nie pozbawionych pewnego szyku szwaczek, guwernantek ze zwojami nut pod pachą, w wyszarzanych paltocikach, z zaczerwienionemi powiekami od długiego zapewne czuwania w nocy nad przygotowaniem lekcyi. Za temi śpieszyli uczniowie: jedni ze śmiechem na ustach, drudzy z zadumą na białem otwartem czole. Grona ich poprzedzały tu i owdzie grupy pensyonarek, trzymających się zalotnie

pod ręce i chichoczących pod mufką. Kucharki w ładnych fartuszkach, z koszykami na ręku biegły na targ, tu i tam ukazywały się z okien głowy pokojówek, miasto budziło się zwolna. Jeśli kto przypadkiem podniósł oczy na drugie piętro i ujrzał mnie, odwracał głowę z gestem, jak gdyby spotkał ducha, zabłąkanego w promieniach poranku. Tak raziła moja białość. Cofnęłam się jednak wkrótce w obawie ujrzenia Witalisa, na widok którego mogłoby nastąpić powtórne zemdlenie.

Hortensya długo nie wracała na górę. Nie czekając na nią, znużona, wyczerpana do ostatniego tchnienia, rzuciłam się na łóżko. Gorączkowy, przerywany sen darzył chwilowem tylko zapomnieniem. Sen stanowi niekiedy prawdziwe ukojenie, jeżeli tylko oddać mu się można.

Przez bogate zasłony wtargnął możliwie silny w dzień zimowy blask słońca do mej sypialni. Zerwałam się natychmiast i po kilku minutach schodziłam na dół do biblioteki. Hortensya dotąd nie ukazała mi się, ja z swej strony widząc poprzednio zapuszczoną kotarę przy drzwiach łączących nasze pokoje, dla zostawienia baronownie spokoju, użyłam tym razem osobnego wyjścia z moich apartamentów.

„Najdroższa mamo! — zaczynał się list mój do Wólki. — Proszę, przyjedź do mnie, stęskniłam się.”

Tutaj pióro wypadło mi z ręki, nowa rozpacz ogarnęła. Jak zdołam oddalić się z tego domu! Witalis prawdopodobnie nie wspomni o mnie, tak jak nie wspomniał o biednych niezapominajkach, zgubionych w sali koncertowej. Ale mnie, czy będzie łatwo zapomnieć go? Czy będzie znośny zwyczajny tryb życia w Wólce? Czy poważny szum jej lasów, szmer jeziora nie przyprawi mnie o szaleństwo?

Kilka tygodni czasu zmieniły tak wiele, zmieniły wszystko... Już nie będę mogła z dawnem lekkiem sercem biegać po zielonych niwach, nie zajmie żniwo, nie zabawi okrężne. O! ty, ty mój jedyny, ty utracony na zawsze! Szczęśliwa, stokroć szczęśliwa baronówna. Wprawdzie matka jej była przeciwną związkowi, lecz kto wie, czy czas nie zmieni jej woli. Tymczasem jednak Hortensya posiada serce Witalisa.

Następnie znów dzika jakaś radość ogarniała mnie na myśl, że ciotka nie zezwoli na to połączenie. Tak, ja go nie będę miała, ale i ona także. Chciałabym tu wprawdzie zostać, chociaż widywać Witalisa, ale czułam, że byłoby to samo, co tracić zwolna zdrowie zmysłów. On już wiedział o mojem nieszczęsnem uczuciu. Zemdlenie powiedziało mu wszystko. Odwzajemnić się nie mógł, a igrać z miłością możeby nie chciał. Musiał więc, musiał odepchnąć od swej piersi rozszalałą dziewczynę. Tak mu nakazywała szlachetność. Chociażby nawet został moim kuzynem przez związek z Horcią nie powinnam się do niego zbliżać, bo każda uprzejmość moja, każde zbliżenie, nie byłyby beznamiętną, siostrzaną oznaką przywiązania. Odjechać najszybciej, odjechać, gdyż inaczej rzucę mu się w ramiona tak, jak w cieplarni i drżącemi usty wyszepczę: „Kochaj mnie, choć przez litość.“

Milczący ten monolog przerwany został dotknięciem czyjejś ręki. Przedemną w eleganckim negliżu stała baronowa.

— Anusiu! długie twoje zamyślenie pozwoliło mi tu wejść niepostrzeżenie i przeczytać zaczęcie listu. Czy miałabyś zamiar opuścić nas? Cóżby znowu? Nie pozwolę na to! Nie rozumiem, nie domyślam się nawet przyczyny. Czy wiesz, że mogłabym się gniewać na ciebie dzieciaku?

— Ciotko — rzekłam zrywając się z miejsca i nie patrząc jej w oczy — wierzaj, że wyrządzenie ci jakiejkolwiek przykrości, dalekie było od mej myśli. Czas spędzony w twym domu należeć będzie do najmilszych wspomnień, a jednak ciotko, pozwolisz mi się oddalić do cichej Wólki.

— Anusiu, co znaczy drżenie twego głosu, pomieszanie widne na twej twarzy?

— Nie pytaj, ciociu, nie usiłuj dowiedzieć się, poprzestań tylko na oświadczeniu, że cokolwiekbądź zajść mogło, pozostaniesz w mej myśli jako najzacniejsza, godna całego szczęścia w pełni używać kobieta. Nie tracę nadziei zobaczenia się z tobą nieraz.

— Dlaczego nie wspominasz o Hortensyi. Może pogniewałyście się z sobą?

— O! nie.

— Może który z warszawskich Lowelasów rzucił grotem w serduszko? Wstrząsasz głową, że nie. Jeśli ci tęskno za mamą, to zaproś ją, niech przyjedzie do nas na czas nieograniczony.

Wtem lekko, wesoło wbiegła Hortensya. I na jej twarzy spostrzegłam taką samą łunę, jak wczoraj u Witalisa.

— Szukałam cię Anusiu, w ciekawości dowiedzenia się twych wrażeń po wczorajszym koncercie i zarazem nowin o zdrowiu. Jak można było zemdleć nie wiadomo z czego. Proszę mamy — rzekła nieco poważniejszym tonem, zwracając się do baronowej — a ze mnie, czy była mama kontenta?

Jakże głos jej brzmiał odmiennie od tego lodowatego głosu, którym zaledwie tak niedawno, bo wczoraj, mówiła: „Niech mama będzie spokojną o mnie. Nie zawiodę jej choćby mi serce pękło.“

Serce Hortensyi, pomyślałam, rosło z nadmiaru szczęścia, jakie dało wyznanie miłości. Kto kocha, rzuca się przez ogień i wodę, byle tylko posiąść przedmiot swego ukochania. Kobieta, której mężczyzna wypowiedział to jednem słowem, kocham, może być już spokojną. On złamie wszystkie przeszkody, a musi nazwać ją swoją.

Teraz po zapytaniu, czy zadowolona jest mama, Horcia wykręciła się w inną stronę dla ukrycia rumieńca.

— Tak, zachowywałaś się zupełnie dobrze. Po kolacyi tylko nie wiem, co się z tobą stało, gdyż nie znajdowałam się w jednym salonie z tobą.

— Upewniam mamę — odrzekła córka z dziwnym uśmiechem — że było tak doskonale, jak nie można lepiej. Anusiu, który z młodzieży przypadł ci do gustu? Widziałam, widziałam — dodała figlarnie — bardzo długo rozmawiałaś z panem Witalisem.

Baronowa rozśmiała się, ale jakoś z przymuszeniem, tak, jak gdyby przypuszczenie, że Witalis podobał się, obudziło w niej niechęć graniczącą z zazdrością. Już to nie była pierwsza okazya, z której rozmaite wnioski mogłam wytworzyć. Baronowa zdawała się nienawidzieć Witalisa, a jednak niekiedy zdradzała się z jakimś gestem, przelotnem wzruszeniem, mogącem się tłomaczyć wręcz przeciwnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Lena, dramat w 4 aktach (6 odsłonach), Maryana Jasieńczyka (Wacława Karczewskiego).

Już dawno minęły czasy w których kawaler musiał, niby biblijny Jakób, starający się o rączkę nadobnej Racheli, całe lata konkurować o pannę. Dziś zobaczyli się z daleka, ciocia nie sprzeciwiła się, wujaszek dobre słówko powiedział, sąsiedzi pomogli, rodzice przyzwolili i już młoda para staje przed ołtarzem przysięgając sobie dozgonną miłość. Skutkiem owego pośpiechu widzimy obecnie tyle niedobranych małżeństw, tyle wykolejonych losów i nie może być inaczej. Dziewczę nieznające najprostszych warunków życia, którego serduszka nic jeszcze nie poruszyło, prócz żądzy poznania nowej fazy egzystencyi, uważa zmianę stanu, jako środek do pozyskania pewnego stanowiska w świecie. W przedślubnych marzeniach narzeczonej, suta wyprawa, piękne ekwipaże, wspaniałe apartamenta, większą nierównie odgrywają rolę, aniżeli dodatnie lub ujemne strony charakteru przyszłego męża, a myśl o skutkach tyle ważnego kroku, ani na chwilę nie postoi w jej głowie.

Dzieje podobnego na konwenansach towarzyskich opartego małżeństwa przedstawił nam p. Jasieńczyk (Wacław Karczewski) w swoim dramacie. „Lena“ (czytaj Helena) córka zamożnego obywatela pana Zbrodowskiego, idzie w wyżej opisanych warunkach za hr. Gustawa Narola, zbankrutowanego cynika, pragnącego przy pomocy milionowego posagu podtrzymać grożący ruiną majątek; gdy jednak nadzieje łowcy na bogate wiano w części przynajmniej zawiedzionemi zostały, nie zadaje już sobie żadnego trudu w ukrywaniu swych wad i zdrożności. Młodziutka ofiara światowych wymagań ma kuzyna Janka, z którym ją wiążą od dziecięcych lat stosunki szczerej sympatyi. Oboje pełni naiwnej prostoty brali to uczucie za objaw braterskiego przywiązania, nie wiedząc, iż tego rodzaju miłość drzemie częstokroć długie lata na dnie serc, nim skutkiem wyjątkowych okoliczności wyjawi swoją obecność. Po nastąpionym ślubie otworzyły się oczy głównych bohaterów sztuki. Janek odgadłszy stan swego serca, ucieka w odległe kraje szukać jeżeli nie zapomnienia to przynajmniej ulgi w srogich katuszach; hrabia, jak wyżej powiedzieliśmy, zawiedziony w finansowych rachubach, zrzuca maskę obłudy z twarzy, a Lena ujrzawszy męża w prawdziwej swej postaci, poznaje czem było właściwie jej przywiązanie do młodego kuzyna. Pomimo jednak doznanego rozczarowania dla dozgonnego towarzysza życia, pragnie mu dochować wiary i rozbudzić w bezdusznym cynniku choć odrobinę uczucia. Straszne trudy! on odpycha jej błaganie, wyszydza miłość, przedrwiwa szlachetne popędy serca, mówiąc iż żona powinna być kobietą światową, ozdobą salonów mężowskich nie zaś marzycielką szukającą ideałów w prozie małżeńskiego pożycia. Nie dość na tem, on wśród tajników swej duszy na wskroś spodlonej, ukrywa myśl straszną, ohydną, potworną... pragnie przy pomocy ks. Jerzego bogatego rozpustnika, który zapałał dla Leny wstrętną namiętnością, odbudować zagrożoną bankructwem fortunę. Gdy nieszczęśliwa kobieta poznała co jej zagraża, posta-

nawia szukać schronienia u rodziców, ale hrabia przy pomocy swego zausznika Kłońskiego, oczernił charakter cnotliwej małżonki, a ojciec jej uwierzywszy nikczemnej potwarzy, odpycha biedną ofiarę nieodpowiedniego związku od siebie; wtedy wygnana z rodzicielskiego domu sromotnie, jedzie do miasta starać się o rozwód. I byłoby wszystko dobry wzięło koniec, bo i pan Zbrodowski poznawszy iż niesłusznie posądził córkę, biegnie przycisnąć skrzywdzoną do swego serca, gdyby obrażony Janek nie musiał wyzwać hr. Gustawa na pojedynek. Następuje spotkanie, kuzynek pada rażony śmiertelnym ciosem, a Lena z rozpaczy dostaje pomieszania zmysłów.

Oto jest treść dramatu p. Jasieńczyka.

W tej pierwszej pracy dramatycznej, pomimo niektórych niedostatków z braku rutyny scenicznej wypływających, pokazał autor rzeczywisty i niezaprzeczony talent, który pozwala nam świetne wyciągnąć wnioski o przyszłości twórcy „Leny“. Słuchając pierwszego aktu, sądziliśmy iż pan Jasieńczyk podąży torem przez starą szkołę wskazanym; akt drugi jednak przenosi nas w świat Dumasa (syna), a ostatni budową swoją przypomina zakrój czysto mellodramatyczny.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że pan Jasieńczyk ukochał swoją bohaterkę, a ukochał ją tak wielką, tak nieograniczoną miłością, iż z tego typu na pozór prostego, zwyczajnego, nie odbiegającego w niczem od postaci, jakich tysiące mamy ciągle przed oczami, utworzył kreacyą wyborną. W najdrobniejszych odcieniach charakteru Leny znać misterne dłuto artysty, który ją z miłością wyrzeźbił, uplastycznił, ożywił. Każdy jej wyraz tchnie prawdą, każdy szczegół uwydatnia kontury, każdy zarys wypełnia harmonię całości. Przy Lenie wszystkie inne wchodzące do sztuki osoby, nawet i sympatyczny choć trochę niezaradny Janek, zbiegają na drugi plan. Hrabia Gustaw to pospolity zbrodniarz pozbawiony swego szóstego zmysłu przy którym salonowi cynicy umieją pokryć swoje występki. Pan Zbrodowski zbyt łatwo wierzy oskarżeniom bez dowodu pierwszego lepszego oszczercy, jego żona zaś zbyt jest powolną małżonkowi, gdy idzie o los ukochanego dziecka; oprócz tego postać Kłońskiego pieczeniarza, pobieżnie traktowana, nie wywołuje spodziewanego efektu, a rozmowy dwojga służących przeciążają zbytecznie akcyę, zniżając swoją trywialnością poważny nastrój sztuki. Pomimo jednak wymienionych usterków, utworzenie pierwszych trzech aktów „Leny“ uważać można za pracę przynoszącą zaszczyt autorowi. Mianowicie dzieje owej miłości czystej, ukrytej w najniedostępniejszych tajnikach serca, owego przywiązania dwojga istot, które nie rozumiejąc doznanych uczuć, poją się bezwiednie ich urokiem, skreślonemi zostały po mistrzowsku. Wsłuchani w trzy pierwsze akta dramatu pana Jasieńczyka, nie mogliśmy zrazu pojąć dlaczego „Lena“ na konkursie Wojciecha Bogusławskiego zaszczytne tylko odznaczenie nie zaś nagrodę otrzymała: dopiero czwarty akt usprawiedliwił w naszem przekonaniu wyrok sędziów. Przysłowie „finis coronat opus“, nie można bynajmniej zastosować do utworu, którego obecnie piszemy ocenę. Po trzech odsłonach napisanych znakomicie, wpadamy nagle w powikłania sztuczne, naciągnięte, grzeszące brakiem prawdopodobieństwa; efektów tam wiele, bardzo wiele, ale one robią wrażenie ujemne. Akcya zbiegłszy z dotychczasowego toru, szamoce się w gwałtownych ruchach, dążąc do melodramatycznego rozwiązania. Pojedynek odbyty na scenie, byłby nader efektownym, gdyby domieszka trywialnego komizmu jednego ze świadków, spotkania Kołkiewicza, nie psuła poważnego nastroju całości. Jednem słowem z chwilą rozpoczęcia aktu czwartego, przeniesieni zostajemy w atmosferę całkiem inną, atmosferę która w niczem nieprzypominą ożywczych prądów poetyckiego natchnienia, jakie początkowo nas otoczyły. „Lena“ jest to gmach wspaniały, o cementowych podstawach, portyku olbrzymim, kolumnach z kararyjskiego marmuru wykutych, którego szczyty zbudowane na prędce jakby z gorączkowym pośpiechem, nieodpowiadają pięknej całości.

Winniśmy jeszcze dodać, że język ocenionego obecnie utworu, posiada wysokie zalety. Jego wdzięk, czystość a nadewszystko niezwykła w prozie harmonia słowa, pieści ucho słuchacza niewypowiedzianym czarem.

Dramat pana Jasieńczyka granym był w ogóle nader starannie, a niektóre role oddane zostały z wyższym artyzmem.

Na pierwszym planie postawić musimy pannę Wisnowską. Długi urlop naszej utalentowanej naiwnej, nie wpłynął bynajmniej ujemnie na rozwój jej talentu, owszem przeciwnie, użyczył artystce nowych cech nieznanych nam dawniej. Dopóki Lena była prostą, wśród ustroni wiejskiej wychowaną dziewczęką, dopóki horyzont jej wyobraźni nie sięgnął po nad zwykłe zachcianki domorosłej panienki, nie mieliśmy o artystkę żadnej obawy; dopiero gdy przyszło do scen wysoko dramatycznych, zrodziła się w nas niepewność, czy wykonawczyni podoła tyle trudnemu zadaniu. Na szczęście panna Wisnowska nie tylko wyszła zwycięzko z tej próby, ale w scenach oburzenia, rozpaczy i obłąkania, potrafiła wlać odpowiednią siłę, potęgę, grozę nawet. Pan Prażmowski ciężkie miał zadanie do wytworzenia bohatera z postaci o miękkim i dość nieuwydatnionym charakterze Janka: jeżeli więc przedstawiona przez niego osobistość nie psuła ogólnej harmonii, to już stanowiło wyłączną zasługę tego utalentowanego i pracowitego artysty.

Nie możemy również pominąć podrzędnego wprawdzie lecz doskonale przez autora nakreślonego typu cioci Olesi, która w pani Niewiarowskiej znalazła wyborną przedstawicielkę; dalej Kłońskiego, którego szablonowe zarysy umiał wyrobioną grą swoją zatrzéć pan Szymanowski, nakoniec hr. Gustawa, oddanego z arystokratyczną dystynkcyą (wyjąwszy może wymawiania francuzkich wyrazów) przez pana Leszczyńskiego. Inne osoby dramatu cokolwiek pozostawiają do życzenia, ale wina nie leży bynajmniej na ich wykonawcach, lecz wypływa z niewłaściwego rozdania ról. Dalecy jednak jesteśmy od obciążenia powyższym zarzutem reżyseryi teatru, cóż bowiem ma uczynić najwytrawniejszy nawet scenizator, gdy jedyni możliwi przedstawiciele wymienionych typów pan Rapacki będący na urlopie i pan Tatarkiewicz ciężką złożony chorobą, nie stanęli do apelu? Z konieczności zatem urządza się jak można, a podobna manipulacya choćby najtroskliwiej dokonana, krzywdę tylko sztuce przynieść może.

Ludwik Niemojowski.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Państwo Olifaunt także mieli bawić w Evreux, gdyż piękna Dianna bardzo sobie tego życzyła; Emilia jednak, która przyjmowała panią Olifaunt w Paryżu, oświadczyła stanowczo ojcu, że nie chce już widzieć w swoim domu na wsi. Po długim oporze uległa wreszcie natarczywym prośbom ojca, lecz położyła za warunek, aby Dianna nie bawiła dłużej nad dwa tygodnie, który to przeciąg czasu Emilia spędzi w Boissise, gdzie pani Hérault nie odmówi jej z pewnością gościnności.

Młoda dziewczyna obiecywała sobie doprowadzić do skutku pewien zamiar jaki dawno powstał w jej głowie. Mały, parafialny kościołek w Theil, wybudowany w staro romańskim stylu, był wewnątrz przyozdobiony bardzo ciekawemi freskami, przedstawiającemi mękę Pańską. Czas jednakże tak uszkodził malaturę, że miejscami zaledwo nieznaczne pozostały ślady i Emilia spotykając się często z proboszczem, przez którego nie jedno wyświadczyła dobrodziejstwo, mówiła nieraz do poczciwego staruszka:

— Obrazy w tutejszym kościołku są w opłakanym stanie, księżę proboszczu... Muszę kiedy wybrać się z pędzlem i paletą, aby im nadać kształty ludzkie.

Jednak pomimo tych chwalebnych zamiarów, Emilia nigdy nie miała czasu na odnowienie starego, opuszczonego kościołka, wir zabaw światowych pochłaniał każdą jej chwilę. Teraz wyborna nadarzała jej się sposobność, należało więc z niej korzystać. Z Boissise do Theil było zaledwie dwa kilometry drogi wiodącej przez śliczny lasek utrzymany tak starannie jak najpiękniejszy angielski ogród. Na drugi dzień po przyjeździe do Boissise Emilia umieściła w powozie pudełko z farbami, pędzle, szczotki, stalugi i pojechała do swojej fabryki, jak wyrażała się żartobliwie. Oprócz tego zabrała ze sobą śniadanie, które chciała spożyć w ogródku na probostwie. Po południu Ludwik z Heleną mieli ją odwiedzić i wygłosić zdanie o rozpoczętej pracy.

Tego samego dnia, gdy panna Lereboulley zaczęła poprawiać freski w kościele w Theil, pani Olifaunt, sir James, Thauziat i kilku młodych przemysłowców przyjechało do Evreux. Posiadłość Lereboulleya znajdowała się o pięć minut drogi od miasta, nad brzegiem rzeki Iton. Jedna strona parku dotykała do przedmieścia, druga zaś łączyła się z lasem, należącym do Boissise. Pałacyk wybudował ojciec senatora w roku 1838 z cegieł pozostałych z dawnego zamku książąt Nawarry.

Olbrzymi biały budynek, w stylu Ludwika XV przedstawiał się dosyć wspaniale, lecz powierzcho-

wność jego była niczem w porównaniu z wykwintnem urządzeniem wewnętrznem. Dolne salony przeznaczone do przyjęcia gości tak były napełnione przeróżnemi dziełami sztuki, że w Evreux nazywano je muzeum pana Lereboulley. Park powiększany kilkakrotnie, kosztował ogromne sumy pieniędzy. To też Lereboulley oprowadzając gości powtarza nieraz:

— Kochani przyjaciele, stąpajcie ostrożnie w tem miejscu, gdyż ono jest wybrukowane dwudziesto frankówkami.

W istocie park ten rozległy przynajmniej na jakie sześćdziesiąt hektarów i zacieniony stuletniemi drzewami, mógł śmiało rywalizować z parkiem w Boissise. Kwietniki były chyba jeszcze piękniejsze niż u pani Hérault, gdyż senator powierzył zarząd ogrodu ogrodnikowi z Anglii a wiadomo, że Anglicy bardzo są biegli w hodowaniu kwiatów. Winnice pana Lereboulley zwracają uwagę amatorów w całej Europie, nie dość bowiem, że może pochwalić się najrozmaitszemi gatunkami, ale ma tak urządzone cieplarnie, iż od Maja do Lutego podają mu do stołu świeżo zrywane winogrona.

Przed kilku laty senatorowi przyszła fantazya zajmowania się rybołóstwem a że w parku nie brakowało wody, gdyż rzeczka przepływając zasilała obszerne jezioro, mógł więc zadość uczynić swoim upodobaniem. Kazał zatem urządzić sadzaweczki w których hodował różnej wielkości pstrągi, przez cementem wykładane kanały, dopływała ciągle do tych sadzawek świeża woda. Kraty nie dozwalały oddalać się małym pstrągom, które żywiono baranim mózgiem i muchami sztucznie hodowanemi. Kaskada spadająca z wysokości dziesięciu metrów, służyła za tamę jezioru, gdzie ryby srebrną połyskujące łuską migały pod powierzchnią wody jak błyskawice. Lereboulley, który z każdej nawet przyjemności potrafi wyciągnąć korzyść, posyłał rok rocznie w czasie postu na targ paryzki, dziesięć tysięcy pstrągów. To też Thauziat w przystępie wesołości zaadresował pewnego dnia w ten sposób list do senatora:

„Wielmożny pan Lereboulley, senator i handlarz ryb."

Żart ten wywołał ogromne oburzenie w Evreux. Można więc sobie wyobrazić, że goście zaproszeni do senatora nie nudzili się bynajmniej. Dwa dni zeszło im na oglądaniu osobliwości parku i pałacu, następnie zadowolniwszy swą ciekawość, zaczęli uczuwać pewną odrętwiałość właściwą Paryżanom, którzy od czterdziestu ośmiu godzin żyją zdala od wielkomiastowego zgiełku. Lecz Lereboulley zajęty z sir Jamesem grą w bezika, oddał im do dyspozycyi piękną swoją stajnię, codzień więc około trzeciej po południu, skoro tylko upał dzienny zmniejszał się cokolwiek, z parku wysuwała się kawalkata na czele której znajdowała się Dianna.

Celem wycieczek bywał najczęściej las, należący do Boissise. Piękna Angielka wyglądała czarująco w amazonce z błękitnego sukna, ozdobionej białą pikową kamizelką i w szarym filcowym kapeluszu, długim osłoniętym welonem. Jechała zazwyczaj pierwsza a za nią zdążał Thauziat i kilku jeszcze panów. Zdawało się, że pani Olifaunt błądzi po lesie bez celu, a tymczasem znała ona doskonale okolicę, rozpatrzywszy się w niej na wielkiej karcie geograficznej, zawieszonej na ścianie w gabinecie Lereboulleya. Lecz tak przewybornie udawała nieświadomość, że Klemens nie domyślał się zamiarów, jakie powstały w głowie ślicznej ale przewrotnej kobiety. Być może, że zbyt zajęty własnemi myślami nie był tak przenikliwy jak zazwyczaj.

Pani Olifaunt zaś od czterech dni coraz więcej zbliżała się do siedziby Ludwika Hérault, krążąc około Boissise jak jastrząb, który zatacza z początku wielkie koła ponad upatrzoną ofiarą, aby ją oczarować i ubezwładnić.

Pewnego dnia o godzinie piątej po południu, na drodze wiodącej przez wioskę Theil rozległ się tentent kopyt końskich, budząc drzemiące obok chałup psy, które z nieznośnem ujadaniem zaczęły gonić za końmi. Wystraszone kury zrywały się z głośnem gdakaniem i uciekały na podwórza; we drzwiach i oknach ukazywały się głowy zaciekawionych kobiet i dzieci, spoglądając z podziwieniem na piękną panią, która pędziła na prześlicznym koniu a za nią trzech eleganckich jeźdźców.

Upał był straszny i ludzie i konie czuli się niezmiernie znużeni, to też widok domu zajezdnego, okolonego porządnym płotkiem, po którym wiły się kwitnące grochy i powoje, miłe na wszystkich uczynił wrażenie.

— Zatrzymajmy się — rzekła Dianna do swoich towarzyszy — mam szalone pragnienie a tu zapewnie dostaniemy świeżego jabłeczniku. Przez ten czas i konie nasze wytchną trochę a my ochłodzimy się przynajmniej.

Thauziat zeskoczył z konia i pomógł zsiąść Diannie, poczem wszyscy zasiedli w cienistej altanie. Nie posiedzieli jednak i pięciu minut, gdy elegancki, odkryty powozik zaprzężony parą ładnych kucyków, minął oberżę i zatrzymał się przed głównemi drzwiami kościoła.

— To powóz Lereboulleya, poznałam jego liberyę — rzekła Dianna. — No, patrzcież panowie, wszakże się nie mylę...

Wszyscy zaciekawieni słowami Dianny podeszli do stangreta, który zsiadłszy z kozła, stał obok koni.

— Mój przyjacielu — ozwał się Thauziat — czy nie jesteś przypadkiem w służbie u pana Lereboulley?

— Tak, panie — odpowiedział z uszanowaniem stangret, zdejmując z głowy kapelusz, lecz nie jadę z domu, tylko z Boissise, gdyż jestem przeznaczony do usług panny Emilii.

— Czy panna Emilia jest tutaj? — spytała pani Olifaunt, marszcząc brwi zlekka.

— Tak pani, i pani Hérault także... panna Emilia naprawia freski w kościele.

— Thauziat, pójdźmy przypatrzeć się tej robocie — rzekła piękna Angielka.—Musi to być ciekawy widok... Niech panowie będą łaskawi zaczekać na nas chwilę.

Klemens w milczeniu poszedł za Dianną, lecz doszedłszy do drzwi kościelnych, zatrzymał się mówiąc:

— Nie chodźmy tam, Dianno... Jakiż będzie cel naszych odwiedzin? Przeszkodzimy tylko pannie Lereboulley, która jest zapewnie w swobodnym kostyumie artystycznym...

— Tak, tak, a nadewszystko spotkamy się oko w oko z panią Hérault — przerwała mu drwiąco Dianna. — Widzę, że lękasz się jej, mój przyjacielu.

— Tak jest, lękam się — odparł chłodno Thauziat. — A teraz skoro powiedziałem ci szczerze całą prawdę, wracajmy natychmiast.

— To wracaj, mój drogi, nie krępuję cię bynajmniej, ale ja nie obawiam się spotkania ani z piękną Heleną, ani z mądrą Emilią... i wchodzę śmiało.

Thauziat wyciągnął rękę chcąc zatrzymać Diannę, lecz wiedział, że kapryśna kobieta nie uwzględni jego prośby i poszedł za nią niechętnie, z niepokojem w duszy, gdyż obawiał się, aby Dianna nie okazała się złośliwą względem Heleny.

Skoro drzwi kościelne zamknęły się za nimi, otoczył ich chłód i półcień wśród którego trudno było w pierwszej chwili odróżnić dokładnie przedmioty.

Dla uniknięcia fałszywego oświetlenia, Emilia kazała wszystkie okna z lewej strony zasłonić grubemi płótnami, światło zatem padało tylko z prawej nawy uwydatniając jeszcze bardziej nagie ściany ubogich kapliczek. Przed ołtarzem Matki Bozkiej wznosiło się lekkie rusztowanie a na deskach, może o metr podniesionych nad podłogę, stała Emilia z pędzlem i paletą w ręku. Opodal, prawie na samym brzegu rusztowania, na prostem wyplatanem krzesełku, siedziała pani Hérault piastując synka na ręku. Widocznie służyła Emilii za wzór do obrazu.

Panna Lereboulley zaczęła właśnie odświeżać obraz przedstawiający Narodzenie Chrystusa Pana a że postać Matki Najświętszej zupełnie była zatartą, Emilia uprosiła przyjaciółkę, aby jej poświęciła codzień po kilka godzin, służąc za wzór do postaci Matki Bozkiej.

Ubrana w białą szatę, która w luźnych fałdach spływała ku ziemi, z gładko nad czołem zaczesanemi włosami roztaczającemi się jak ciemny płaszcz po jej ramionach, ze wzrokiem miłośnie zwracającem się ku dziecięciu, które pulchne i różowe przypominało aniołki Murilla, Helena jaśniała taką nadziemską, niemal niebiańską pięknością, że Klemens i Dianna zatrzymali się w cieniu chrzcielnicy, podziwiając ten nadspodziewany widok. Promień słońca schylającego się ku zachodowi, przedzierając się przez zakurzone okna kościelne, otaczał złotawemi blaski jakby tajemniczym nimbem głowę Heleny. Cała postać młodej kobiety tchnęła takim urokiem czystości i pokoju, że serce Dianny ścisnęło się mimowoli a z piersi jej ciężkie wyrwało się westchnienie.

Po długiej chwili milczenia, spojrzała na swego towarzysza a widząc go ponurym i zamyślonym, szepnęła z akcentem zazdrości w głosie:

— Szczęśliwi ludzie, nieprawdaż Klemensie?

— Tak, szczęśliwi, ale bo też i zasługują na to szczęście — z goryczą odparł Thauziat. — Czyste i szlachetne serca zadawalniają się każdą skromną radością w życiu nie szukając gwałtownych wzruszeń i nadzwyczajnych przyjemności... Widzisz w jakiem otoczeniu spotykamy dzisiaj te dwie kobiety, ubogi wiejski kościołek pełen ciszy i cienia a w nim dwie istoty zadowolone, że znajdują się razem i mogą przyczynić się w miarę sił swoich, do jakiegoś pożytecznego dzieła... Powiedz Dianno czy chciałabyś tak długie godziny siedzieć spokojnie, na źle zbitych i nieociosanych deskach i służyć za wzór do obrazu Przeczystej Dziewicy? Jestem pewien, że nie, podobne rozkosze nie każdego zadowolnić potrafią; dla nas, moja droga, trzeba czegoś więcej, namby to nie wystarczyło, dla nas trzeba zbytku i wykwintu, inaczej żyć już nie umiemy!...

Tu usta Klemensa bolesnym wykrzywiły się uśmiechem a w czarnych jego oczach zabłysnął płomień głębokiego żalu i wzruszenia.

Dianna spojrzała na niego i z podziwieniem pokręciła głową.

— Chcesz okazać się silnym, mój biedny Klemensie — odezwała się z niezwykłą słodyczą w głosie, ale pomimo to widzę jak bardzo cierpisz. Powiedz mi więc, czy jeszcze kochasz tę kobietę?

Thauziat nie odrzekł ani słowa, a jego blada twarz pozostała zimną i niewzruszoną.

— Oddalmy się — rzekła po chwili pani Olifaunt, zdjęta prawdziwą litością na widok tej niemej a bezmiernej boleści — miałeś słuszność Klemensie, nie powinniśmy byli wchodzić tutaj.

Kończąc te słowa, zwróciła się ku drzwiom, lecz w tejże chwili rozległ się w pustym kościele donośny głos Emilii:

— Kto tam jest? — pytała młoda dziewczyna. — Od kilku chwil słyszę jakąś przyciszoną rozmowę.. Czy to ty, księżę proboszczu?

Deski zaskrzypiały, widocznie Emilia schodziła z rusztowania.

— Schwytano nas na gorącym uczynku — rzekła piękna pani, lepiej więc zatrzymać się i przywitać.

I zawróciwszy się w głąb' kościoła, ukazała się teraz w pełnem oświetleniu.

— Jeśli mnie oczy nie mylą, to widzę przed sobą panią Olifaunt! — zawołała Emilia. Pani tu... w kościele... jakiemuż przypadkowi zawdzięczyć mamy spotkanie z panią? Czy pragniesz pani wyrzec się religii reformowanej i przejść na katolicyzm? A! witam cię, panie de Thauziat.

Usłyszawszy to nazwisko Helena zadrżała i pobladła zlekka, zwracając badawcze spojrzenie na pannę Lereboulley. Lecz nawet Emilia, umiejąca doskonale panować nad sobą, była tak wzruszoną i niespokojną, że bynajmniej otuchy nie dodała Helenie.

— Kochana Emilio — zaczęła jak najswobodniejszym tonem piękna Angielka — przypadkiem w istocie przyjechaliśmy do Thiel i tu dopiero dowiedzieliśmy się, że pracujesz w kościele... Wtedy oboje z panem de Thauziat nie mogliśmy się oprzéć pokusie obejrzenia ładnych utworów wykwitających z pod twego pędzla... Lecz—dodała zwracając się z powabnym uśmiechem do pani Hérault — żywy obraz jaki przedstawił się naszym oczom, oczarował nas do tego stopnia, że zapomnieliśmy przypatrzyć się malowidłom.

— Ah! kochana Helenko, podziękujże za tak uprzejmy komplement! —zawołała z wymuszonym śmiechem Emilia. — Dziwi mnie tylko to, że Klemens dał się w tym razie wyprzedzić pani Olifaunt.

— Pan de Thauziat zapewne w myśli podzielał moje przekonanie, tylko że nie miał zamiaru wypowiedzieć je głośno — odparła spokojnie Dianna i przyłożywszy do oczu pięknie w szyldkret oprawną lornetkę, zaczęła przyglądać się rozpoczętej przez Emilię pracy.

Każdy jej ruch, spojrzenie i wyraz twarzy nacechowane były taką wyzywającą śmiałością, że panna Lereboulley czuła jak krew burzyć się w niej zaczyna.

Klemens powitawszy Emilię, przysunął się do pani Hérault, Helena zmieszana, prawie nie wiedząc co robi, wyciągnęła ku niemu rękę, mógł ją więc ująć i uścisnąć w swoich dłoniach, lecz udał że nie widzi tej ręki wyciągającej się doń przyjaźnie i pochylił się tylko przed nią z pełnym szacunku ukłonem.

— Widzę Emilio, że pragniesz współzawodniczyć z Rafaelem?—podjęła znowu pani Olifaunt— twoja Madonna narysowana jest bardzo ładnie... wyborny szkic! Szczególniej dziecię przedstawia się zachwycająco... W istocie jest prawie tak śliczne jak w naturze!...

I chcąc zapewnie porównać oryginał ze wzorem, pochyliła się nad dziecięciem, które uśmiechnęło się do błękitnych oczu i złocistych włosów pięknej pani i wyciągnęło roczęta jakby pragnęło drobnemi ramionami otoczyć jej szyję.

Wtedy Emilia zwróciła się do Dianny ze złośliwym błyskiem w oczach:

— Widzisz, droga pani — rzekła ironicznie — to chłopczyk, dlatego też już cię chce uściskać.

— To ja go pocałuję, jeśli mama pozwoli — odrzekła nie tracąc zimnej krwi pani Olifaunt.

I pochylając twarz ku dziecięciu dotknęła zlekka ustami delikatnego policzka chłopczyny.

— Nie można jeszcze wiedzieć do kogo maleńki będzie podobny — odezwała się Dianna po krótkiej chwili milczenia. — Przypatrzno mu się Klemensie.

Thauziat nie poruszył się z miejsca i nie odwracając wzroku od twarzy Heleny, rzekł poważnie:

— Życzę mu z całej duszy, aby we wszystkiem podobnym był do matki.

I skłoniwszy się Helenie, cofnął się nieco i nie mieszał się już więcej do rozmowy.

— Czy pani nic nie wiąże mu na szyjce?—spytała piękna Angielka. — To źle pani robi. Ja przywiozłam z Syryi bardzo piękne koralowe naszyjniki, uczyń mi pani tę łaskę i pozwól abym przysłała jeden z nich twemu ślicznemu synkowi.. Przekona się pani jak te różowe perełki pięknie będą odbijać od białej i delikatnej cery dziecięcia.

I nie dając Helenie czasu do zebrania się na odpowiedź, ukłoniła się z wdziękiem obu kobietom i zwróciwszy się do Emilii ścigającej ją wzrokiem, spytała:

— Może masz jakie polecenie do ojca, spełnię je najchętniej?

— Owszem — odpowiedziała panna Lereboulley — bądź pani łaskawą powiedzieć ojcu, że mam nadzieję, iż wkrótce będę mogła powrócić do jego domu.

— Poczem skłoniwszy przyjaźnie głową Klemensowi, zajęła się robotą, nie zwracając już bynajmniej uwagi na Diannę.

— Obeszłaś się za zbyt surowo z tą biedną kobietą — rzekła Helena skoro drzwi zamknęły się za odchodzącemi. Zdaje mi się, że zasługiwała na trochę więcej pobłażliwości z twej strony.

— Czy dlatego, że ci pochlebiała i pieściła twoje dziecię? — przerwała jej gniewnie Emilia — ale radzę ci, nie ufaj jej obłudnej słodyczy, nie znasz jeszcze Dianny i Daj Boże abyś nie miała sposobności poznania jej lepiej. Trzymaj ją zawsze zdala od siebie i od ukochanych przez ciebie istot, korzystaj z przestrogi jaką ci z głębi duszy udzielam i unikaj Dianny, gdyż to z gruntu przewrotna i niebezpieczna kobieta.

W tej chwili Helena przypomniała sobie pierwsze spotkanie z panią Olifaunt na wystawie obrazów, na którą Emilia posłała portret przyjaciółki i ów wyraz niepojętej nienawiści jaki dostrzegła w oczach Angielki, przypatrującej jej się ciekawie i dziwnie bolesne przeczucie ścisnęło jej serce. Zwróciła wzrok na małego Piotrusia, który spał spokojnie na jej kolanach i przyciskając go do łona powiedziała sobie w duchu, że pod taką obroną nic złego przytrafić mu się nie może.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BONONIA.

Miasto Bononia, jedno z najstarożytniejszych, największych i najbogatszych miast we Włoszech, ma blizko 80,000 mieszkańców i leży u stóp gór Apenińskich, między rzekami Reno i Savena.

Pięknie zabudowane z szerokiemi ulicami, posiada domów przeszło ośm tysięcy, po większej części trzypiętrowych, tworzących od strony ulic kolumnady, użyczających przechodniom w lecie pożądanej osłony przed żarem słonecznym.

Pomijając piękne gmachy, place, fontanny, ogrody i siedmdziesiąt kościołów wspaniałych, największą sławę Bononii stanowi słynny uniwersytet, założony, jak wieść niesie, przez Teodozyusza Młodszego w roku 425. W wiekach bowiem najciemniejszego barbarzyństwa, wyższa ta szkoła naukowa była pochodnią oświaty i kształciła ludzi, którzy nauką całej ludzkości przyświecali.

W dawnych czasach wszechnica bonońska liczyła często po kilka tysięcy uczni, obecnie liczba ich niezawsze trzystu dochodzi. Obdarzana różnemi przywilejami posiada bibliotekę, której konserwatorem był niegdyś uczony Mezzofanti, obejmującą blizko 200,000 dzieł i przeszło tysiąc rękopismów.

Tego to uniwersytetu prastarego obchodzony był niedawno, jubileusz ośmset-letniego istnienia, ze świetną niezmiernie uroczystością, pozostawiającą po sobie niewygasłe wspomnienie.

Dnia 10-go Czerwca, na wielkim dziedzińcu uniwersytetu, młodzież miejscowa przyjmowała studentów włoskich i zagranicznych. W odpowiedzi na serdeczne powitanie odpowiadali przedstawiciele uniwersytetów: ateńskiego, bolońskiego, lipskiego, parmeńskiego i rzymskiego; ostatnich studenci niemieccy przyjęli okrzykami: „Niech żyje Rzym!" Po śniadaniu studenci z rozwiniętemi chorągwiami, wśród towarzyszącego im i oklaskującego tłumu ludu, udali się do dworca kolejowego na przyjęcie kolegów francuzkich.

Gdy ci wysiedli z pociągu, nikt nie pomyślał o plemiennej nienawiści i politycznych urazach, i studenci niemieccy, ująwszy się pod ręce z francuzkimi, szli razem przez ulice miasta lub jechali powozami.

Na ten widok zapał wzrósł do tego stopnia, że studenci włoscy wyprzęgli konie od powozów i ciągnęli je przez miasto.

Nazajutrz odbył się historyczny pochód profesorów i studentów, śród nieustannych demonstrancyi sympatyi ze strony publiczności. Z okien domów rzucano kwiaty i wieńce laurowe lub dębowe. Na placu Wiktora Emmanuela orszak defilował i wydawał okrzyki przed balkonem, gdzie była zebrana królewska rodzina, a właściwa uroczystość w gmachu uniwersyteckim rozpoczęła się odśpiewaniem hymnu ułożonego przez bar. Franchettego. Potem rektor miejscowy miał mowę okolicznościową, dziękował królewskiej parze i ks. następcy tronu za zaszczycenie festynu swoją obecnością. Po rektorze przemawiali profesorowie włoscy i zagraniczni, jak Carducci, Pessina i inni, zaś prof. Gaudino w mowie łacińskiej wyraził życzenie: „aby ustały niezgody i zapanował wieczny pokój na ziemi mię-

dzy ludami, które jedynie walczyć z sobą powinny o cnoty i wiedzę."

Uroczystość ta cała z tak wielkim ceremoniałem była przeprowadzoną, że prawie nadludzkich trzeba było mieć sił, aby wysłuchać bez przerwy wszystkich mów jednego dnia wygłaszanych na uroczystościach bolońskich.

W dniu rozdawania dyplomów honorowych, obecnemu na ceremonii królowi Humbertowi nagle zrobiło się słabo. Królowa widząc jak blednie coraz bardziej, zawołała: „Krzesła! krzesła!" przyniesiono coprędzej fotel królewski i monarcha upadł, jak martwy.

Hr. Massari podał mu szklankę wody, poczem król przyszedł do siebie, ale wszyscy obecni przerażeni byli jego bladością. Skoro tylko monarcha powrócił do pałacu, zawezwano nadwornego lekarza, a ten zalecił absolutny spokój. Mimo to wieczorem para monarsza udała się na wystawę, celem położenia tamy wszelkim niepokojącym pogłoskom.

Jedno z pism rzymskich pisało o tem omdleniu króla między innemi:

„W Sierpniu 1887 roku, król podczas prawdziwie podzwrotnikowego upału, był przez dziewięć godzin obecnym na manewrach bez szkody dla zdrowia. Widocznie teraz słuchanie przez dziewięć godzin potopu mów włoskich i łacińskich, przechodziło siły natury ludzkiej. Król zmuszony był na dziecińcu gimnazyum wysłuchać niezliczonych uczonych rozpraw historyi prawa rzymskiego w średnich wiekach: o przekształceniu się prawa rzymskiego na prawo kanoniczne i nowoczesne: jednej mowy greckiej i angielskiej, musiał słuchać Duńczyków, mówiących po włosku, a Włochów po łacinie i w końcu jeszcze uroczystej kantaty. Król znosił to wszystko mężnie, gdy jednak po drugiej kantacie barona Franchetti, chaos języków rozpoczął się na nowo a przed oczami króla znów stanęło widmo prawa rzymskiego, podziękowania zaś i udzielania dyplomów honorowych ciągnęły się bez końca, wówczas natura upomniała się o swoje prawo. Spostrzeżono, iż król chwieje się i blednie."

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Jesień zbliża się z wielkiem niezadowoleniem, wszystkich przedsiębierców zabaw na wolnem powietrzu w salonie niebem okrytém.

Teatra ogródkowe już nas pożegnały, szukać szczęścia i zarobku w innych stronach. Życzymy im jak najlepszego powodzenia. Żywot ich między nami skutkiem zimna i niepogody, był bardzo roztkliwiający. Może gdzieindziej powiedzie się im lepiej.

Towarzystwo muzyczne już jak w jesieni zapowiedziało wieczory tygodniowe, gazety zaś głoszą odczyty i koncerty, a grono osób, obdarzonych dobrym humorem, w połowie Listopada roku bieżącego, wystąpi z popisem publicznym, nazwanym koncertem humorystycznym, którego celem będzie... ubawienie słuchaczy.

Program tego nowego u nas koncertu składać się będzie z produkcyi muzycznych na instrumentach *ad hoc* sprowadzanych, śpiewu, deklamacyi, oraz jednoaktówki scenicznej.

Dochód z koncertu przeznaczony, oczywiście, na cele dobroczynne.

Na odpust w Częstochowie, w dzień Narodzenia Najświętszej Panny Maryi, zebrało się przeszło 100,000 pielgrzymów, w znacznej części ze stron bardzo odległych. Były kompanie przeważnie włościańskie, nietylko z okolic Kielc, Radomia, Lublina, Suwałk i t. d., nawet z Chorwacyi, licząca 870 pielgrzymów.

Niektórzy twierdzą, iż dość już dawno nie było tak licznego napływu wiernych.

Wywóz śliwek. W tych dniach na targach tutejszych czynił ogromne zakupy śliwek jakiś ajent niemiecki. Cały transport ma być dla taniości frachtu wysłany wodą do Torunia. Ajent, jak nam mówiono, poczynił również znaczne zamówienia na śliwki w okolicach Kazimierza, ojczyzny... „węgierek".

Replantacya zębów. Ciekawej operacyi dokonał w tych dniach lekarz dentysta Michał Iwankiewicz w baraku chirurgicznym przy szpitalu Ujazdowskim. Szło mianowicie o powrotne wsadzenie zębów trzonowych, wyjętych przed 24 godzinami dwóm cierpiącym na nie żołnierzom. Ząb wyrwany ostrożnie, ażeby go nie uszkodzić, był zanurzony w rozrzedzonym karbolu i starannie oczyszczony. Następnie lekarz oczyścił dziąsła i szybko, przyciągając palcem, wstawił ząb w otwór, który poprzednio zajmował. Operacyi podobnych wymieniony lekarz, jak zapewnia, dokonał poprzednio już przeszło 40, poczynając od Marca roku bieżącego, tamte jednak dopełniane były albo bezpośrednio po wyjęciu bolącego zęba, oczyszczeniu go i zaplombowaniu, albo też z przerwą kilku godzin czasu po wyrwaniu. Wszystkie powiodły się bardzo pomyślnie i cierpiący na zęby po dwóch lub trzech dniach pozbywali się uczucia bólu za naciśnięciem, po czternastu zaś najwyżej przeżuwać już mogli wszelkie pokarmy, niedoznając żadnego wrażenia. Jeden z liczby operowanych, żołnierz pułku ułanów, jak sam to opowiadał, dziewiątego dnia gryzł już orzechy. Kilku innych, dawniej operowanych, a obecnych przy wczorajszem wsadzaniu, wspominało o niem wesoło i ze szczerem zadowoleniem. Rzecz w zasadzie znaną oddawna, bo jeszcze od XI wieku i słynnego lekarza arabskiego Abdul-Kazisa w Kordubie, a podnoszoną następnie przez różnych słynnych swego czasu chirurgów europejskich, ostatnio zaś w Ameryce przez Yanger'a, p. Iwankiewicz zastosował w innej formie, używając nie obcych lecz własnych cierpiącego zębów. Posługując się przytem wszelkiemi środkami postępowej dentystyki, powiodło się mu rozwiązać zadanie pomyślnie i zapewnić cierpiącym w skutkach pożądaną ulgę.

Przeciw zbytkom i rozrzutności, przybierającym coraz większe rozmiary w Paryżu, występuje ostro kilka poważniejszych pism francuzkich. Przedewszystkiem perora skierowana jest do młodych dziewcząt, które noszą równie kosztowne materyalne tualety i cenne klejnoty, jak ich matki. Rozrzutność w strojach obecnych powiększa jeszcze nietrwałość materyałów, które dawniej przetrzymywały jeden sezon, a dziś starczą zaledwie na jedną zabawę. Dama, która dawniej płaciła 20 tysięcy franków rocznie za tualety, wydaje dzisiaj dwa razy tyle. Ale rozrzutność ta stosuje się nietylko do strojów; zbytki w nakryciu stołu i podawaniu obiadu przechodzą wszelkie granice. Podają na wety owoce, o których dawniej nie miano pojęcia: winogrona muszą być o każdej porze roku, a każdy gatunek owoców musi być podany na innym gerydonie. A kwiatów bez końca! Wzdłuż obrusa istny klomb kwiecisty, serwety spowite w kwiaty, świeczniki pełne wieńców. Nadto każdy gość ma swoją własną solniczkę, pieprzniczkę, cukierniczkę, masielniczkę, swój słoik do musztardy i t. p. Niesłychany zbytek panuje w podarunkach kotylionowych. Czemże są sławne *montage* cesarzowej Eugenii w porównaniu z tem, co się dzieje teraz? Wówczas margrabia de Caux dawał pomarańczę, bukiet, małą bombonierkę jako najwyższe odznaczenie, z którego obdarowana tancerka niemało była dumną. Dzisiaj kotylion kosztuje 10 do 20 tysięcy franków, bo trzeba rozdawać złote i srebrne upominki i trudno się dziwić, że pewien ojciec, ujrzawszy córkę swoją powracającą z balu z takiemi skarbami zapytał: „Moje dziecko, czy ci zapłacili jako tancerce?"

Służba watykańska zajęta jest obecnie porządkowaniem przedmiotów znajdujących się na wystawie jubileuszowej. Cztery piąte części owych przedmiotów Papież rozda na różne cele kościelne. Reszta zaś umieszczoną będzie w Museo Leonino. Hr. Vesquiquani i architekt Mannucci otrzymali już polecenie rozpoczęcia robót około nowego muzeum.

Teatr pływający. Właściciel teatru czasowego w Niższym Nowogrodzie, D. Bielskij, zamierza urządzić teatr pływający, celem dawania widowisk w miastach nadwołżańskich. Teatr będzie umieszczony na wielkich rozmiarów barce; scena będzie miała 16 arszynów szerokości.

Uniwersytety włościańskie w Danii. Od roku 1844 istnieją w Danii tak zwane uniwersytety włościańskie, czyli wyższe szkoły ludowe, w których żądni wiedzy wieśniacy uzupełniają swe dotychczasowe wykształcenie. Założycielem ich był biskup Grundtwig. Z zakładów tych przeważnie korzystają ludzie dorośli, zdaniem bowiem biskupa zainteresowanie się wiedzy budzi się dopiero w wieku późniejszym. Najlepszym tego dowodem ma być lenistwo w latach młodocianych tylu ludzi wsławionych pracowitością. Takich szkół dopełniających, czyli jak Duńczycy je zowią „uniwersytetów", a Niemcy „Fortbildungsschulen", liczy Dania 70. Wszystkie one utrzymują się kosztem uczęszczających do nich uczniów. Opłata miesięczna wynosi około 30 koron. W wielu szkołach, jak np. w Askowie, lekcye odbywają się tylko w ciągu zimowego półrocza. W skład programu wchodzą w tej szkole: historya, geografia, literatura ojczysta i powszechna, starożytności skandynawskie, arytmetyka wyższa, gramatyka, geometrya, fizyka, chemia, ekonomia polityczna, prawoznawstwo, buchalterya, język angielski i t. d. Szkoła ta liczy około 100 słuchaczów i 50 słuchaczek. Uczniowie szkoły są to ludzie od 20—40 lat, przeważnie wieśniacy lub ich dzieci. Obok młodzieńca, syna zamożnego gospodarza, widać tam nieraz oblicze człowieka wiekowego, który pracą zdobył niewielki kapitalik, pozwalający na słuchanie nauk. Pośród kobiet znaczną część stanowią dziewczyny na wydaniu, które uważają że wysłuchanie kursów najdogodniej je do stanu małżeńskiego usposobi. Zdaniem tej i wszystkich innych szkół podobnych nie jest żadna specyalność, lecz podniesienie umysłowego poziomu ludu.

Przed kilkoma miesiącami wybitniejsi krawcy warszawscy otrzymali od paryzkiego stowarzyszenia krawców wezwanie do konkursu.

Chodziło o „żywotną” kwestyę fraka.

Każdy z zapytanych powinien był odpowiedzieć: czyli frak ma i nadal zajmować stanowisko sukni uroczystej lub nie i czem go zastąpić należy.

Jak zwykle tak i w tym razie opiekunowie naszej powłoki cielesnej, podzielili się na dwie partye: frakofilów i antifrakistów.

Ci ostatni wysłali do Paryża mnóstwo projektów i projekcików, radząc zastąpienie fraka surdutem a nawet suknią... „normalną”.

Decyzya w tej palącej sprawie już nadeszła.

Ani jeden projekt naszych krawców nie uzyskał aprobaty sądu konkursowego...

Podobno żurnale zimowe, nadesłane przez paryzkich matadorów mody, pozbawiają frak praw obywatelskich.

Zamiast „zdetronizowanej” sukni ma być używany rajtrok z klapami mocno wyciętemi a połami zaokrąglonemi i niedochodzącemi kolan.

Istnienie fraka jest więc bardzo zachwiane, jakkolwiek znajdą się zapewne i odstępcy.

Na koncercie dworskim, dyrektor wychodzi przed kortynę i mówi:

— Mam zaszczyt najpokorniej zawiadomić, że przedstawiony zostanie, jego królewska mość król Och, opera Franciszka Szuberta.

* * *

Gość mówi do lokaja w restauracyi:

— Napiwków nie daję z zasady, ale na poczekaniu skłam coś zręcznie a szybko, to dam ci rubla.

— Co, tylko rubla? Przecież mi pan przed chwilą pięć dać obiecał!

* * *

Ojciec: — Panie profesorze, jestem pełen obawy czy syn mój przejdzie do następnej klasy. Podobno nieszczególne miał w tym roku stopnie.

Profesor: — Ależ nie, i owszem, syn pański przejdzie... Załóż się pan o sto rubli.

* * *

Pod adresem teatrów. Jedno z pism wiedeńskich robi następującą propozycyę teatrom dworskim: „Ustanowiona formuła”, pisze ów dziennik: „z powodu nagłej niedyspozycyi pana, pani lub panny i t. d.”, znana jest dobrze naszej publiczności teatralnej. Powtarza się ona tak często, że radzilibyśmy kierownikom naszych scen teatralnych, aby w nadchodzącym sezonie, na próbę, posługiwały się następującemi zawiadomieniami: „Z powodu nagłego wyzdrowienia pana Winkelmann, dziś „Tannhäuser”. „Wskutku szczęśliwie usuniętego kataru panny Antoniny Schläger, dzisiaj „Hugonoci”. „Dla uroczystego obchodu wyzdrowienia panny Corale, dzisiaj „Excelsior”. „Po zupełnem wyleczeniu pana v. Sonnenthal (usunięcie lekkiego zwichnięcia nogi za pomocą kompresów lodowych), dziś, przy uroczyście oświetlonej scenie „Fromont młodszy i Risler starszy”. „Z powodu szczęśliwego powrotu p. Lewinsky'ego z małej wycieczki, dzisiaj „Zbójcy”. „Wskutku niespodzianego kaprysu pani Karoliny Walter, dzisiaj „Marya Stuart”.

Przy odpowiedniej zmianie nazwisk zawiadomienia podobne dałyby się zastosować i do innych wielkich teatrów.

* * *

Służąca państwa L. przy ulicy Mokotowskiej, szatkując w godzinach rannych świeżo zakupioną na targu kapustę, po rozkrojeniu jednej z najładniejszych główek, spostrzegła w naciętym głąbie świstek białego papieru, zwinięty w kilkoro.

Ponieważ sama dobrze pisanego czytać nie umiała, pośpieszyła z papierem owym do pani, młodej mężatki.

Oto co list ów, opatrzony podpisem „młody ogrodnik” zawierał w sobie:

Żegnam cię kapusto,
Jarzyno liściasta!...
Pochwyci cię w rączki
Niebawem niewiasta...

Tyś dotąd w ogrodzie,
Krasiła zagony...
Daj Boże, bym takie,
Mógł co rok mieć plony...

O jedno cię tylko,
Ogrodnik twój prosi,
Byś wpadła w rączęta...
Młodziutkiej gosposi...

Gdy tejże czas wreszcie,
Doprawić pozwoli,
Niech sadła nie skąpi...
I pieprzu i soli!...

A miły konsument,
Niech potem mi powie,
Że... „pyszna kapusta!...
I... poszła na zdrowie!...”

Życzeniom tym wkrótce stało się zadość...

Kapustę przyprawiono podług wierszowanych wymagań i... dodać należy, nie zaszkodziła nikomu...

W obecnych ciężkich dla poezyi czasach, nic dziwnego, iż poeta-ogrodnik, znalazł upust dla natchnienia... w środku kapuścianego głąbu...

Koszta wydawnictwa prawie żadne!

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stałej prenumeratorce. Prosimy o przysłanie wierszyka z podpisem *Intimo*, dla porównania go z nadesłanym, a zalecającym się formą dość udatną.

ZAWIADOMIENIA.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 7 Сентября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).